

**BOLESŁAW  
PRUS**

ANIELKA

# Bolesław Prus

## Anielka

*[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843666](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843666)*

*Anielka:*

### **Аннотация**

Powieść z 1880 roku ukazująca dwór polski i stosunki społeczno-ekonomiczne w zaborze rosyjskim w okresie powułaszczeniowym. Nieudolność właściciela majątku – utracjusza, lekkoducha i próżniaka, typowego przedstawiciela swojej klasy – doprowadza do utraty majątku i rozkładu rodziny. Na pierwszym planie powieści nakreślony został przez Prusa portret psychologiczny tytułowej bohaterki, 13-letniej Anielki, która przeżywa głębokie rozczarowanie, obserwując nieprzystawalność oficjalnej etyki środowiska, w którym dorasta, do praktyki życiowej. Przyjęcie punktu widzenia dziecka zaostrza krytykę i ocenę moralną postępowania dorosłych.

# Содержание

Rozdział pierwszy. Autor dokonywa przeglądu osób, mocno wierząc, że mu z tym będzie lepiej	4
Rozdział drugi. Czytelnik bliżej poznaje bohaterkę, jej guwernantkę, a także pieska – imieniem Karuś	12
Rozdział trzeci. W którym jest mowa o medycynie, o celach życia ludzkiego i wielu innych rzeczach	21
Rozdział czwarty. Dziedzic odbywa naradę ze Szmulem, po czym jest uprzejmy dla żony, Anielki, a nawet – dla guwernantki	39
Rozdział piąty. Weseli są zasmuceni, a smutni mają doskonały humor	55
Конец ознакомительного фрагмента.	62

# Bolesław Prus

## Anielka

### **Rozdział pierwszy. Autor dokonywa przeglądu osób, mocno wierząc, że mu z tym będzie lepiej**

Anielka jest piękną dziewczyną, a przy tym ani ubogą, ani sierotą. Posiada wszelkie warunki szczęścia: ma rodziców, uczoną guwernantkę, własnego psa i – mieszka na wsi.

A wieś, szczególnie podczas lata, jest najstosowniejszym miejscem pobytu dla dzieci. Są one tam zdrowe, swobodne i lepiej bawią się niż w mieście.

Na obszarze kilkuset morgów spotykają wielką różnorodność widoków, napawających wrażeniami prostymi i spokojnymi młode ich dusze. Tam niebo nie jest próżnią między domami, ale samoistnym sklepieniem, które dobry Bóg rozciągnął nad światem i oparł na falistym polu. Tam są łąki pachnące, przezrocyste i chłodne strumienie, w których pływa obfitość małych rybek. Łany jasnozielonych kłosów żyta kołysze wiatr jak niestrudzona niańka, śpiewając półgłosem: „aa... a!... aa... a!...” – bawiąc ich pąsowymi makówkami i niebieskim chabrem.

Między łanami widać ścieżkę, po której idzie z wolna

dziecię odziane w szarą płachtę, z ciepłymi dwojaczkami dla ojca. Dalej gościniec, gdzie znudzony długim wypoczynkiem piasek niekiedy zrywa się w kłębach i udaje podróżnego, aby tumanić ludzi w polu. Dalej zagony ziemniaków, gdzie drzemie pierzchliwy zając. Szare płaty ugorów, na których pasą się zamyślane i strzygące uszami stada rogatego bydła, a dalej – już na granicy świata – lasy, ciemne i surowe z wierzchu, hałaśliwe i wesołe we wnętrzu...

Przy gościńcu wieś ciągnie się we dwa pogieće szeregi, o parę staj – dwór otoczony wielkim ogrodem, szeroki, dostatni. W jednym skrzydle dworu Anielka uczy się pod okiem guwernantki, a w oszklonym ganku od ogrodu jej braciszek Józio bawi się obok matki. Jemu jeszcze wolno bawić się w godzinach powszechnej pracy, bo on mały, ma dopiero lat siedem.

Ładna jest wieś, w której mieszka Anielka. Ładna, gdy nad polami skowronki świergoczą, gdy od łąk dolatuje ciche dźwięczenie ostrzonych kos, gdy na gościńcu biegają z krzykiem opalone dzieci, gdy we dworze po skończonych lekcjach matka z Anielką i Józiem wyjdzie do ogrodu, aby ze wzgórza patrzeć na pola, łąki, strumienie, gościniec i las odległy.

Może powiedzą sobie z uczuciem sprawiedliwej dumy: wszystko, co stąd wzrok obejmie, ożywia myśl i wola naszego ojca – to nasze! Gdyby nie on, nie byłoby tu ani tak pięknie, ani tak dostatnio!...

A może żadna z nich nie wejdzie na wzgórek, skąd widać całą majątność, aby nie przypominać sobie, że lasu wkrótce już nie

stanie, bo go sprzedano, że na łąkach jest mało kosiarzy, bydło nie ma co jeść na ugorach i pola są źle obsiane.

Tu i owdzie między dworskim zbożem tuła się bydło włościańskie; do niepilnowanego lasu wjeżdżają obce fury. Stodoły puste, budynki obdarte, w spichrzu ledwie parę garści ziarna leży na spróchniałej podłodze. Kilka koni fornalskich rżą w stajni nad pustym żłobem, parobcy wałęsają się po dziedzińcu, a w kuchni krzyk. Jeden z fornali woła, że już nie będzie jadł kaszy na wieczerzę, bo ją miał dziś dwa razy, inny wyrzeka, że chleb jest pełen ości i mniejszy, niż być powinien.

Gdzie klucznica, żeby uspokoiła swary w kuchni? Podobno jest w miasteczku, leczy się na ból zębów, a może – szuka nowego obowiązku. Gdzie ekonom czy rządca, aby dojrzeli robót w polu i nie pozwalali krzywdzić dworskich obszarów? Rządcy już od roku nie ma, a ekonom wyjechał za własnymi interesami.

A gdzie pan tego majątku?...

O tym najmniej wiadomo. On bywa gościem w domu, nawet wówczas, gdy jego sąsiedzi całe dnie przepędzają w polu. Ostatni raz wyjechał dziesięć dni temu kończyć interesa. Niedawno sprzedał las i wziął trzy tysiące rubli zadatku. Ale na lesie ciężą serwituty, które wypada znieść na św. Jan. Jeżeli serwitutów nie zniosą, pan lasu nie sprzeda i będzie musiał ustąpić z majątku, co prawda, bardzo odłużonego. Niemcy zawarli z nim taki układ, który on pół roku temu śmiejąc się podpisał, pewny, że... jakoś to będzie!...

Bodaj to – dobre przysłowia!... Ale Anielka nie zna się

jeszcze ani na przysłowiach, ani na interesach.

Obecnie pojechał dziedzic kończyć sprawę lasu z komisją włościańską. I skończył pomyślnie, gdyż na św. Jan ma przyjechać komisarz i asystować przy ostatecznej ugodzie z włościanami. Podobno chłopci zdecydowali się wziąć po trzy morgi na osadę za zrzeczenie się swoich praw – i – wszystko pójdzie dobrze.

Z tego powodu dziedzic, pan Jan, nie śpieszył się z powrotem do domu. Dziś już nic w gospodarstwie nie poprawi, bo to czerwiec. Weźmie się dopiero po ukończeniu interesu leśnego. Tymczasem musi się zobaczyć z krewnym, który wyjeżdża za granicę, i udzielić rad przyjacielowi, który się żeni.

Dziedzic był człowiekiem lekkiego serca, przynajmniej tak nazywali go rolnicy pedanci. Najważniejszy interes opuścił on dla rozrywki w towarzystwie ludzi dobrego tonu, a już dla uniknięcia przykrości Bóg wie czego by się nie wyrzekł. Jakiś głos wewnętrzny szeptał mu, że wszystko zrobi się bez jego udziału; od dzieciństwa zaś miał to przekonanie, że ludzie jego stanowiska nie mogą nurzać się w pracy i poziomych kłopotach.

Bawić się, błyszczeć dobrym tonem, dowcipkować i utrzymywać arystokratyczne stosunki – oto były cele jego życia. Innych nie znał, i z tego może powodu w ciągu kilkunastu lat stopniał mu w rękach naprzód majątek własny, a obecnie – posag żony.

Kiedyś (gdy się ureguluje zachwiane społeczeństwo) miał nadzieję odzyskać wszystko. Jakim sposobem? Gdyby go o to

zapytano, uśmiechnęłyby się tylko i skierowałyby rozmowę na inny przedmiot.

Ludzie jego sfery rozumieli widać ten sposób; inni nie zrozumieliby go. Po co więc wdawać się z nimi w gawędy?

Niekiedy w stadle, gdzie mąż jest istotą, która dzięki wychowaniu i stosunkom późniejszym nigdy nie dotknęła stopą ziemi, trafia się żona energiczna i rozsądna. Tu na nieszczęście nie było ani jednego, ani drugiego.

Pani Janowa, matka Anielki, za czasów kwitnącej młodości odznaczała się niepospolitym wdziękiem, słodczą charakteru i towarzyskimi zaletami. Umiała ubierać się, przyjmować gości, grać, tańczyć i mówić po francusku częściej niż rodzowitym językiem. Przez kilka lat po zamążpójściu bawiła się jak anioł, a mąż za nią przepadał. Później, gdy mąż ochłonął nieco w sakramentalnej miłości, stała się wzorową żoną i po całych dniach siedziała w domu nudząc się w sposób, o ile można, łatwy, a bezwarunkowo cnotliwy. W końcu zaczęła chorować i od trzech mianowicie lat otoczyła się lekarstwami.

Pan tymczasem jeździł – niby Sowizdrzał – jak mówi lud. Niekiedy wpadał do domu i prosił żonę o podpisanie jakiegoś papieru. Ta skarżyła się przed nim na samotność i brak wygod; ale gdy mąż obiecał, że od św. Jana wszystko zmieni się na dobre, uspakajała się i podpisywała, co chciał.

Ludzie wiejscy znali ją tylko z kościoła; w kuchni nie widziano jej nigdy. Światem jej był dwór i niekiedy park. Lekarstwa, wystrzeżenie się szkodliwych wpływów

klimatycznych, wspomnienia zabawy i nudy obecne – wypełniały jej życie, które znosiła raczej z apatią niż z rezygnacją.

Położenia nie rozumiała, o możliwej stracie majątku nie myślała nigdy. Gdy doszło do tego, że mąż począł zastawiać jej klejnoty, płakała i robiła mu wymówki. Pomimo to dziwiła się, że nie ma tej służby, co niegdyś, i wypowiadała życzenia swoje jak za najlepszych czasów: „Kup mi to” – „przywieź owo” – „przyjmij tego...” – a gdy mąż woli jej nie spełnił, nie unosiła się gniewem ani niepokoiła obawą złej przyszłości.

„Jaś **nie chce** mi tego zrobić!” – myślała nie przypuszczając nawet, aby Jaś **nie mógł** czegoś zrobić jako kandydat na bankruta.

Pod bezpośrednim wpływem matki chował się Józio. Do czwartego roku życia karmiono go sagiem, mianą i cukrem;; nie pozwalano mu wychodzić zbyt często na dwór, aby się nie zgrzał lub nie zaziębił; nie dawano mu biegać, aby sobie czego nie złamał.

System ten zrobił dzieciaka wątłym; a ponieważ w owym czasie jego mama zaczęła leczyć się, więc i jego leczono. W ciągu trzech lat następnych chłopiec nauczył się trochę po francusku, poznał w siódmym roku życia dużo lekarstw, był uważany i sam uważał się za chorego. Dziecko, z natury nie najgorsze i nie najbardziej tępe, zrobiło się tworem nudnym, bojaźliwym, nieruchawym i wyglądało na idiotę.

Józio albo milczał, albo mówił o swych chorobach jak dojrzały hipokondryk. Na obcych robił dziwne wrażenie, ale w

domu przyzwyczajono się do niego.

Starsza siostra jego, Anielka, miała lat trzynaście. Przyszła na świat jeszcze w tej epoce, kiedy mama bawiła się. Oddano ją więc pod dozór nianiek i piastunek, z których żadna nie służyła we dworze dłużej roku. Z jakiego powodu? O tym podobno tylko dziedzic wiedział.

Że zaś bony, a później guwernantki mało zajmowały się edukacją Anielki, dziecko więc samo się wychowywało. Anielka biegała po wielkim ogrodzie, wchodziła na drzewa, bawiła się z psami, a niekiedy z folwarcznymi dziećmi, na co jej jednak nie pozwalano. Czasem wpadała do stajni i jeździła konno jak chłopczyk, co bardzo martwiło jej przewodniczki, osoby dziwnie skromne i z tego zapewne tytułu cieszące się życzliwością dziedzica.

Lecz teoretyczne nauki dziewczęcia były strasznie zaniedbane, podobnież tak zwane „ułożenie”. Nic tych rzeczy nie umiała, gdyż nikt jej nie uczył.

Takie okoliczności utworzyły z Anielki istotę nieco szczególną, lecz sympatyczną. Po rodzicach odziedziczyła piękność i wrażliwość. Wiek robił ją żywą jak iskra; swoboda zbliżyła ją do natury, którą Anielka kochała i pojmowała.

Zachowanie się jej było pełne niespodzianek. Każde silniejsze wrażenie objawiało się w niej jak w dziecku: śmiechem, płaczem, skokami lub śpiewaniem. Rzeczy piękne lub tylko ładne zachwycaly ją; czyjś smutek i kłopot mógł ją pobudzić do aktu poświęcenia. Gdy zaś miała czas zastanowić się nad

czym, zdania jej przypominały osobę zupełnie rozwiniętą, nieco sentymentalną, zawsze szlachetną.

Nareszcie pewnego dnia zrobiono odkrycie, że Anielka umie bardzo mało, prawie nic, więc – sprowadzono jej mądrą guwernantkę, pannę Walentynę.

Była to osoba w gruncie rzeczy dobra, dość umiejąca, ale na swój sposób zbakierowana. Nieładna, stara panna, trochę demokratka, trochę filozofka, trochę histeryczka i wielka pedantka. Kto ją widział przy lekcji, mógł sądzić, że patrzy na mumię. Pod zimną jednakże powłoką kwaśno się dużo rozmaitych uczuć, które z panny Walentynty mogły zrobić w danym razie pomocnicę mężnej Judyty, w innym – ofiarę niesumienności jakiego przedstawiciela płci męskiej. Jedno i drugie w miniaturze.

Taką jest doraźna charakterystyka głównych działaczy niniejszego opowiadania. Wszyscy oni stąpają po podminowanym gruncie, który w języku pospolitym zwie się: bankructwem.

## Rozdział drugi. Czytelnik bliżej poznaje bohaterkę, jej guwernantkę, a także pieska – imieniem Karuś

Ktokolwiek spożywał papierowe owoce z drzewa wiedzy o złym, dobrym i nudnym, ten nie zapomniał chyba cywilizacyjnej czynności zwanej wydawaniem lekcji.

Bez wielkiego trudu możemy uprzytomnić sobie mętne chwile, w czasie których poprzednik nasz, wedle szkolnego spisu uczniów, **bąkał** albo **pytłował** zadaną lekcję. Pamiętamy chaos, jaki wypełniał całą naszą istotę od kurzu na podeszwach aż do pomady ma włosach, gorączkowe oczekiwanie własnej kolei i pytania natrętnie cisnące się do myśli: „A może mnie nie **wyrwie**?... może godzina wybije?... może go inspektor wywoła?... może stanie się coś dziwnego?...”.

Tymczasem spotniały nasz poprzednik wypowiadał ostatnie wyrazy lekcji i siadał przypatrując się z wielką uwagą piątce, trójce albo jednostce, którą obok jego nazwiska rysował w swoim katalogu profesor. Potem – czuliśmy wewnątrz jakąś niezmierną ciszę, wśród której, z łoskotem kamienia uderzającego w szybę, wywołano nasze nazwisko.

Odtąd nie czuliśmy, nie widzieli i nie myśleli nic, zasłuchani w wartki potok wyrazów, który wypływał nam z okolic przełyku, obracał język, potykał się o zęby i poruszywszy kolumnę

powietrza tudzież władze umysłowe znudzonego profesora, krystalizował się ostatecznie w „notesie”, przybierając tam formę mniej lub więcej opłakanego stopnia.

Błogie zadowolenie wewnętrzne bywało zwykle nagrodą tej pracy, jakąśmy (wedle jednozgodnej opinii osób starszych) wykonali dla dobra naszej przyszłości, na którą – piąta deklinacja łacińska, słowa: *sein, haben* i *werden*, tudzież fałszywie podane nazwiska królów egipskich – stanowczy wpływ wywrzeć miały.

Tak rzeczy stoją w szkołach, gdzie z powodu natłoku uczniów inkwizycje pedagogiczne odbywają się krótko i nieczęsto. W edukacji zaś prywatnej, przy której uczeń wciąż musi wydawać lekcje, miejsce trwogi i gorączkowej niepewności zajmuje trwające kilka godzin ogłupienie, a potem – wybuch ukontentowania, jakby nas z ukropu dobyto.

Chwila podobna zbliża się właśnie dla Anielki, wypowiadającej przed guwernantką swoją, panną Walentyną, ostatnią popołudniową lekcję – jeografii.

Dziewczynka stoi na środku pokoju, oparłszy złożone jak do modlitwy ręce na czarnym, lakierowanym stole. Ciemne włosy jej w powodzi czerwcowego słońca błyszczą jak złotymi nićmi przetkane. Machinalnie przestępuje z nóżki na nóżkę i błądzi oczyma po drzwiach, prowadzących do pokoju matki, po suficie lub stole, zarzuconym materiałami i narzędziami oświaty.

– Modena – trzydzieści tysięcy mieszkańców. Dla ochrony od upałów ma okryte chodniki... Reggio, wymawiaj: Redzio...

– Ależ Reggio mówić nie potrzeba, a tym bardziej dodawać:

wymawiaj. Jesteś strasznie roztrzępana, moja Anielciu, a masz już lat trzynaście.

Upomnienie to wyszło z wąskich ust panny Walentyny, osoby, która cieszyła się szarymi włosami, szarą twarzą, szarymi oczyma i ciemnopopielatą suknią w białe kropeczki.

– Redzio... – powtórzyła Anielka i zacięła się. Na białą twarz jej wystąpił silniejszy rumieniec, szafirowe oczy niespokojnie przebiegały ze stołu na sufit. Aby wyjść z kłopotu, szepnęła cicho:

– Reggio – wymawiaj: Redzio... – A potem powtórzyła głośno: Redzio... – piętnaście tysięcy mieszkańców...

I odetchnąwszy jak tragarz, który ustawił nareszcie wielki kufer w lokalu trzeciego piętra, mówiła dalej:

– Niedaleko tego miasta widać rozwaliny zamku Canossa...

– Kanosa! – poprawiła ją dama popielatego koloru.

Powtórnie zbita z tropu dziewczynka znowu zarumieniła się, zawahała, później powtórzyła raz już wypowiedziany frazes: „niedaleko tego miasta...” i kończyła:

– ...na podwórzu którego cesarz Henryk IV w kornej postaci przez trzy dni błagał Grzegorza VII, papieża, o zdjęcie klątwy, 1077 roku... Carrara...

– Ależ nie **Carrara**, tylko Karara...

– Karara... Karara nieopodal od morza, łomy marmuru, słynnego z białości...

Skończyła, dygnęła i usiadła na krześle, myśląc: „Boże! jakie to nudne...”.

Uczona dama, z której niobów ciekawie wyzierał zakurzony podkład włosienia, wzięła do ręki pióro i po głębokim namyśle napisała w dzienniczku:

„Jeografia – dość dobrze”.

Anielka siedziała z głową pochyloną, niby nie patrząc na dziennik. Mimo to szafirowe oczy jej zrobiły się prawie czarne, kąty ust pochyliły na dół...

„I bawić się nie pozwalają, i piszą tylko: dość dobrze – pomyślała. – Niedługo już słońce zajdzie...”.

Dama przygarnęła do siebie książkę.

– Będzie stąd – rzekła – od „Wielkie księstwo tokańskie (starożytna Etruria)...” aż do...

Przewróciła dwie kartki:

– Aż do: „weszy w skład królestwa włoskiego...”.

I nadgryzionym paznokciem zrobiła w oznaczonym miejscu kreskę.

Potem odchrząknęła i głosem łagodnym mówiła:

– **C** w języku łacińskim i od niego pochodzących przed **a, o, u** wymawia się jak **k**. Powtarzałam to nieraz. Wychowanie twoje, Anielciu, jest bardzo zaniedbane; a masz już lat trzynaście... Musisz wiele pracować, aby doścignąć inne panienki będące w twoim wieku.

Anielka wysłuchiwała upomnienia jednym uchem. W chwilę później spojrzała ukradkiem na zielone gałązki lipy szeleszczącej w otwartym oknie i – wyciągnęła rękę do książki z zamiarem złożenia jej.

– Jeszcze nie czas! – rzekła nauczycielka.

Dziewczynka, przekonawszy się, że zegar wskazuje dwie minuty do piątej, usiadła. Oczy jej znowu przybrały kolor szafirowy, a później niebieski – usta pięknie wykrojone odchyliły się. Każdy jej muskuł drżał. Po wielogodzinnych lekcjach chciała już wybiec do ogrodu; a tu jeszcze dwie minuty do piątej!...

Od snopów światła ściany pomarańczowego pokoju lśniły się jak metalowe, biała pościel stojącego w kącie łóżeczka Anielki razila oczy, lusterko na stoliku błyszczało jak gwiazda. Z lipy pachniał miód, a z dziedzińca dolatywało pianie krzykliwych kogutów. Świergot ptaków mieszał się z brzękiem pszczół i cichym szemraniem starych drzew ogrodu.

„Ach! ta godzina nigdy chyba nie wybije” – myślała Anielka, czując na twarzy powiew ciepłego wiatru. Zdawało się, że ją napełniają dreszcze światła – ziejącego z nieskończoności.

Panna Walentyna tymczasem, oparłszy się na poręczu krzesła, splotła żyłaste ręce na piersiach i machinalnie patrzyła w ten punkt swej popielatej garderoby, który wieśniacy nazywają podołkiem. W oschłej, zmęczonej wyobraźni widziała się przełożoną pensji złożonej ze stu panien ubranych szaro, które należało utrzymać w korbach porządku aż do uderzenia dzwonek. Marzyła, że ciżba istot młodych, chcących wybiegnąć na ogród, tłoczy ją ze wszystkich stron; ona zaś opiera się żywym falom piersi i rąk ze spokojem i siłą granitu. Ta walka dręczyła ją, lecz zarazem napełniała duszę niewymowną słodyczą. Panna Walentyna czuła, że oczekując na dzwonek, wbrew własnej chęci

i porywom młodości aż stu dziewczynek, słucha potężniejszego nade wszystko głosu – obowiązku.

Jeszcze minuta...

Za oknem słyhać ciche skomlenie psa, który zwykle o tej porze bawił się z Anielką. Dziewczynka tarła niespokojnie rączki, spoglądając to na zegar, to na wydętą przez wiatr firankę, ale – siedziała.

Nareszcie – zamknięty w wysokiej, ciemnożółtej szafce zegar pokazujący dni, godziny i sekundy, wydzwonił naprzód cienko i prędko cztery kwadranse, potem grubo i powoli – godzinę piątą.

– Możesz złożyć książki – rzekła nauczycielka i powstawszy z krzesła, wysoka, nieco pochylona, ociężałym krokiem zbliżyła się do komody i wzięła z niej szklanek zimnej kawy, przykrytej spodkiem, na którym roiły się muchy, ciekawe i głodne.

Anielka w jednej chwili zmieniła się do niepoznania. Figlarny uśmiech odstonił jej białe i drobne ząbki, oczy przybrały ciemnozieloną barwę i zdawały się sypać iskry. Obiegła parę razy stół nie wiedząc, co pierwiej chować; potem skoczyła do drzwi matczynego pokoju, lecz wnet powróciła do książek i pochylając na bok główkę z odcieniem prośby w głosie, spytała:

– Czy mogę puścić tu Karuska?...

– Ponieważ rodzice pozwalają ci bawić się z nim, więc i ja nie bronię – odparła dama.

Anielka nie słuchając dokończenia zawołała:

– Karuś, tu!...

I w dodatku – gwizdnęła.

Tylko niezwykłej mocy charakteru przypisać należy to, że panna Walentyna, usłyszawszy gwizdnięcie Anielki, nie upuściła z rąk kawy wraz z jej należytościami. Na mizernej twarzy uczonej osoby zajaśniał wyraz wielkiego oburzenia. Lecz nim połknęła bułkę, aby w swoich organach mownych zrobić dosyć miejsca na długą prelekcją o przyzwoitości, pies nie czekając, aż mu drzwi otworzą, skoczył do pokoju oknem.

– Jesteś rozpieszczona, jesteś – dzika dziewczyna! – rzekła dama uroczyście i na znak najwyższej goryczy przełknęła podwójną dozę kawy, wydając przy tym szmer podobny do gulgotania.

– Karusek... zbytniku jakiś... kto słyszał, ażeby wskakiwać do pokoju oknem? – zgromiła go Anielka.

Ale pies nie miał czasu słuchać upomnień. Skoczył jej naprzód do ust, później targnął za sukienkę, oblizał jej powalane atramentem palce i nareszcie schwycił za guziczek wysokiego bucika. Skomlał przy tym i szczekał, aż nareszcie upadł na wznak i wytarzał się po ziemi wywieszając język. Był to pies bardzo żywego temperamentu, miał białą sierść, a na lewym oku czarną łatkę.

Panna Walentyna nie mówiła już nic, pogrążona w przyjmowaniu posiłku i gorzkiej zadumie.

„Życie moje – myślała szanowna panna – podobne jest do tej kawy. Kawa i śmietanka – cierpienie i praca oto jego treść; a jak szklane naczynie nie pozwala rozlewać się płynowi, tak moje panowanie nad sobą hamuje wybuchy rozpacz. Ledwie

ukończyła lekcję, a już mam psa... Szkaradne zwierzę, które pchły roznosi po całym domu...

Ale – pchajmy dalej naszą taczkę boleści i obowiązków...”

W tej chwili przyszło jej na myśl, że w kawie jest cukier. Czy by i jej życie miało kiedy zostać osłodzone? Czym?... chyba jakimś cieplejszym uczuciem?

W niezbyt żywej wyobraźni panny Walentyny owo „cieplejsze uczucie” wyrobiło sobie pewien symbol, co prawda, zmieniający się z biegiem czasu. Niegdyś (gdy wyjechała pierwszy raz na wieś) miał on formę młodego i pięknego właściciela dóbr ziemskich.

Gdy wróciła do miasta, piękny właściciel dóbr ustąpił miejsca brzydkiemu wprawdzie, lecz – poważnie myślącemu lekarzowi. Później było wiele innych symbolów, w których z tego powodu zatarły się cechy indywidualne, i – powstała idea czysta. Idea owa musiała mieć koniecznie więcej niż średni wiek, niezbyt długą brodę, uroczysty tużurek i pełne godności stojące kołnierzyki. Nieujęte widziadło to ukazywało się zazwyczaj pannie Walentynie otoczone mnóstwem szaro ubranych uczennic, stanowiących pensją wyższą dla płci żeńskiej – i stosem naukowych podręczników. Bez pełnienia trudnych, lecz pięknych obowiązków nauczycielskich życie, choćby nawet ocukrowane ciepłym uczuciem, nie miało już dla panny Walentyny żadnego powabu.

Tymczasem Anielka biegała dokoła stołu; za nią warkocz włosów i ogonek jej krótkiej blad różowej sukienki, a za nimi

pies.

Anielka składała i porządkowała książki, a pies podskakiwał i chwycił dziewczynkę za rękawy lub pukające buciki, widocznie upominając się o należne mu pieszczoty.

Skrzypienie szuflady obudziło nauczycielkę z marzeń. Spojrzała na stół i zawołała:

– Co ty robisz, Anielciu?

– Składam książki. Czy mogę pójść do mamy? – spytała zamknąwszy stolik.

– Idźmy! – rzekła panna Walentyna, podnosząc się z fotelu.

## Rozdział trzeci. W którym jest mowa o medycynie, o celach życia ludzkiego i wielu innych rzeczach

Minąwszy dwa pokoje: perłowy, mający pozór szpitalnej celi i jasnoniebieski, który mógł być niegdyś sypialnią młodego małżeństwa, lecz obecnie został czymś niezdecydowanym, Anielka i wesoły towarzysz jej Karuś wbiegli do szklanej altany, ze wszech stron gęsto porosłej dzikim winem.

W altanie tej na wysokim stołku siedział z lalką w rękę mizerny chłopczyk w bernardyńskim habicie, a przy nim, obok stolika zapełnionego flaszkami i szklankami, dama w średnim wieku, z uwagą czytająca książkę. Dama ubrana była biało, miała szafirowe oczy wyblakłe, włosy ciemne i na twarzy szczupłej, o pięknych rysach, chorobliwe rumieńce. Zdawała się być wkliniowana w ogromny fotel, wyłożony miękkimi poduszkami ciemnozielonego koloru.

Do tej damy przypadła Anielka i poczęła całować jej twarz, szyję, chude i przezroczyście ręce i kolana.

– *Ah! comme tu m'as effrayé, Angélique!* – zawołała dama, składając książkę i całując dziewczynkę w różowe usta. – Już, dzięki Bogu, skończyłaś lekcję?... Zdaje mi się, żeś trochę zmizerniała od obiadu. *N'es tu pas malade?* Ten pies wywróci stolik albo Józia. *Joseph, mon enfant, est-ce que le chien t'a*

*effrayé?*

– *Non!* – odparł malec w habitcie bernardyńskim, patrząc osowiałym wzrokiem na siostrę.

– Jak się masz, Józiu?... Dajże mi buzi! – zawołała Anielka, chwytając braciszka za szyję.

– *Doucement! doucement!*... wiesz przecie, że nie można mną trząść, bo ja jestem osłabiony! – odezwał się Józio głosem żalonym.

Potem wydłużył blade usta na kształt ryjka i zasłaniając się rączkami od gwałtownych uścisków siostry, pocałował ją bardzo ostrożnie.

– Jak mama ślicznie dziś wygląda!... musi mama być bardzo zdrowa?... Patrz, Józiu, twemu chłopczykowi zagięła się kurtka do góry – mówiła Anielka.

– *En vérité*, czuję się dziś lepiej. Zjadłam po obiedzie kilka łyżeczek ekstraktu słodowego i wypłam filiżankę mleka. *Ce chien fera du dégât partout*, wypędź go, moja droga.

– Idź, Karo! – zawołała Anielka wypędzając do ogrodu pieska, który, obwąchawszy stojące w kącie wazoni i blaszaną polewaczkę do kwiatów, miał obecnie chęć zająć się jednym z pantofli chorej mamy.

W tej chwili weszła panna Walentyna.

– *Bonjour, mademoiselle!* – powitała ją pani domu. – Cóż to, już skończyłyście lekcje? Jakże tam poszło? *Joseph, mon enfant, prendras tu du lait?*

– *Non, maman!* – odparł chłopiec kiwając głową nauczycielce.

W tej chwili wypędzony pies zaskowyczał i zaczął drapać we drzwi.

– Poznaję z fizjognomii, że czyta pani coś zajmującego. Czy nie *Dumania* Gołuchowskiego, które pani rekomendowałam? – zapytała Walentyna.

– *Angelique! ouvre la porte à cette pauvre bête!*... jego krzyk rozdziera mi serce... Czytam coś lepszego aniżeli *Dumania* – czytam dziełko Raspaila, którego mi ksiądz dziekan był łaskaw pożyczyć – odparła chora. – Zostaw, Anielciu, drzwi otwarte, niech trochę powietrza wejdzie. Nie uwierzy pani, jakie cudowne kuracje wykonywał ten człowiek swoimi środkami. Jestem zachwycona, i zdaje mi się, że byłam zdrowsza już po przeczytaniu paru rozdziałów. Cóż dopiero będzie, gdy zacznę to wszystko stosować! *Joseph, mon enfant, n'as tu pas froid?*

– *Non, maman!*

– Czy to jednak będzie dobrze leczyć się bez porady doktora? – zauważyła panna Walentyna.

– Może cię wynieść, Józiu, przed ganek? – pytała Anielka brata. – Zobaczyłybyś ptaszki, zobaczyłybyś, jak Karusek goni motyle...

– Wiesz przecie, że ja nie mogę wychodzić na dwór, bo jestem osłabiony – odparł chłopczyna.

Nieszczęsne osłabienie było torturą biednego dziecka. O nim tylko myślał i z tego powodu ofiarowany był św. Franciszkowi, którego habit nosił, nie licząc lekarstw, jakimi ciągle go fetowano.

Tymczasem pani domu rozmawiała z guwernantką o lekarzach.

– Co oni umieją, co oni wiedzą! – biadała chora. – Leczą mnie już trzy lata bez najmniejszego skutku. Obecnie porzuciłam ich i będę się leczyć sama, chyba że Jasieczek zawiezie mnie do Chałubińskiego. O! czuję, że on by mi pomógł... Ale Jasieczek nie myśli o tym, w domu bywa rzadko; gdy chcę jechać, mówi, że interesa w tej chwili nie pozwalają – wszystko kończy się na obietnicach. *Angelique, chasse ce chien*, bo jest nieporządny!

Niesłusznie skompromitowany Karusek uległ wypędzeniu i los swój przyjął z rezygnacją wyższą nad wszelkie pochwały. Nie przeszkodziło mu to jednak w chwilę później skowyczeć i drapać we drzwi, a następnie gonić poważnie chodzące koguty.

Anielka tymczasem usadowiła lepiej Józia, który się krzywić zaczął, przyniosła matce ciepły szal i angielską gramatykę nauczycielce. Potem wybiegła do kuchni, aby sprowadzić mleko dla Józia i obstalować kotlecik dla matki; wpięła sobie w warkocz kwiatek i wróciła do szklanej altany z dużą, tęgo zbudowaną klucznicą, panią Kiwalską. Była to dama w wieku mocno średnim, ubrana w wełnianą suknię w pasy pąsowe i czarne. Workowaty stanik galowej szaty szczęśliwie uwydatniał bogactwa jej popiersia.

Klucznica wdzięcznie dygnęła pani domu, przy czym rozległo się skrzypienie podłogi, i skinęła, głową niepatrzącej nawet na nią guwernantce. Panna Walentyna nie cierpiała Kiwalskiej od czasu, kiedy przechodząc raz koło kuchni, usłyszała klucznicę

dowodzącą, że jej, pannie Walentynie, gwałtem męża potrzeba.

– Cóż, moja Kiwalsiu, wróciłaś z miasta? A co tam słyszeć? ... Czy ci felczer pomógł na zęby?...

– Ach, słyszeć i bardzo wiele, mówię łasce pani. Gospodyni księdza dziekana strasznie chora, już jej nogi spuchły, brała Przenajświętsze Sakramenta – odpowiedziała klucznica, pochylając się i bijąc w piersi przy ostatnich słowach.

– Cóż jej to jest?

– Tego nie wiem; ale ksiądz dziekan, mówię łasce pani, to taki chodzi jak kreda biały. Do mnie ani pary z gęby nie puścił, tylko ręką machnął. Ale z oczu, mówię łasce pani, to mu patrzyło, jakby chciał powiedzieć: „Oj, moja Kiwalsiu, żebyś też ty do mnie zgodziła się! ... Bo stara patrzy z przeproszeniem na księżą oborę, a te szelmy bez dozoru głodem mię zamorzą”.

Chora dama wstrząsnęła głową, jakby przypuszczając, że Kiwalsia poluje na miejsce konającej, a klucznica wciąż prawiała dalej.

– Anielciu – odezwała się w tej chwili nauczycielka, którą drażniło gadulstwo klucznicy i naiwność jej pani – weź historią wieków średnich i pójdźmy do ogrodu.

– Historią?... – zapytała przestraszona dziewczynka. Ale przywykła do posłuszeństwa natychmiast wyszła do swego pokoju i po upływie kilku minut wróciła niosąc książkę w rękę, a w kieszeni parę sucharków dla wróbli.

– No, idźcie sobie, idźcie – rzekła mama – a ja tu posiedzę z Kiwalsią. Czy pana czasem nie spotkałaś w miasteczku, bo miał

być u komisarza na jakimś zebraniu? *Joseph, mon enfant, veux-tu aller au jardin?*

– *Non* – odparł chłopczyna.

Panna Walentyna i Anielka wyszły, a Kiwalska usiadłszy na stołeczku bawiła w dalszym ciągu panią opowiadaniem nowinek. Donośny głos jej, który słychać było z odległości kilkunastu kroków stopniowo osłabł i w końcu zupełnie przycichnął.

Ogród był wielki, dawny i z trzech stron w podkowę otaczał dom. Tu żyły w dostatku, sędziwych lat doczekawszy, kasztany rodzące biały kwiat, ułożony w piramidkę, a w jesieni kolczaste owoce; klony z liśćmi podobnymi do kaczej łapy; akacje z listkami ułożonymi jak zęby gęstego grzebienia i paszczekowatymi kwiatami, które wydają woń słodką, przynęcającą pszczoły. Wzdłuż płotu siedziały lipy pełne wróblu pilnujących pól i stodół, wychudłe topole włoskie i szeroko rozgałęzione u dołu, a ostre u szczytu smutne świerki.

Bzy włoskie zasypane sinymi kitami, bzy lekarskie, których mocno pachnący kwiat używa się na wzbudzenie potów, tarnina rodząca czarne i cierpkie jagody w jesieni, dzikie róże, głóg drzewny, ulubiony przez kwiczoły jałowiec, rozsypane po całym ogrodzie, zapełniały wolne od drzew miejsca, tocząc między sobą długą i cichą walkę o soki z ziemi i węgiel z powietrza. Czasami który z nich obumierał, a wówczas pojawiały się przy nim krótko żyjące, lecz niebezpieczne w zapasach trawy i zielska.

Środek parku zajmowała sadzawka, otoczona fantastycznie

wyrosłymi wierzębami. W zimie wyglądały one jak połamane, upadające, chore pnie; w nocy przybierały postaci widziadeł rozkraczonych, garbatych, bezgłowych, wieloramiennych, które tylko na widok człowieka kamieniały w potwornych ruchach, udając rzeczy martwe. W ciepłych miesiącach roku straszdyła te odziewały się delikatnymi gałązkami tudzież liściem drobnym o zielonym wierzchu i jasnym spodzie, a w ich dziuplach, mających formę paszcz, gnieździły się ptaki.

Przez ten ogród, który co chwilę zmieniał formy i barwy, chwiał się, pachniał, błyszczał i szemrał, wypełniony skrzydlatymi istotami najrozmaitszych gatunków, szły teraz Anielka i jej guwernantka ścieżyną nierówną, powoli zarastającą zielskiem. Dziewczynkę upajało otoczenie. Oddychała prędko i głęboko, chciała oglądać każdą gałązkę, lecieć za każdym ptakiem albo motylem i wszystko ogarnąć uściskiem. Lecz panna Walentyna była chłodna. Stała drobnyymi krokami, patrząc na nosy swych bućków i przyciskając do zwiedłej piersi gramatykę angielską.

– Dowiedziałaś się dziś z jeografii, gdzie leży Canossa – rzekła panna Walentyna do Anielki – a teraz masz sposobność dowiedzieć się, za co Henryk IV przepraszał Grzegorza VII. Przeczytasz o tym w dziejach Grzegorza VII, zwanego też Hildebrandem, w rozdziale: Niemcy i Włochy.

Propozycja czytania w takim miejscu oburzyła Anielkę. Chciała westchnąć, lecz powstrzymała się i rzekła ze złośliwą intencją:

– Pani będziesz się w ogrodzie uczyła... po angielsku?

– Tak.

– Więc i ja będę się uczyła po angielsku?

– Pierwej musisz gruntownie poznać język francuski i niemiecki.

– Ach!... A jak już, proszę pani, poznam francuski, niemiecki i angielski, to... co będę robić?...

– Będziesz mogła czytywać książki w tych językach.

– A jak już wszystkie przeczytam?

Panna Walentyna spojrzała na szczyt topoli i wzruszyła ramionami.

– Życie człowieka – odparła – nie wystarcza na odczytanie tysięcznej części książek, jakie są w jednej literaturze. A cóż dopiero mówić o trzech, najbogatszych!

Anielkę tym razem ogarnęła niewymowna tęsknota.

– Więc nic, tylko uczyć się i czytać!... – szepnęła mimo woli.

– A cóż byś ty chciała robić w ciągu życia? Czy nad naukę potrafiłabyś znaleźć jakieś szlachetniejsze zajęcie?

– Co ja bym chciała robić? – spytała Anielka. – Czy teraz, czy – jak urosnę?...

A widząc, że panna Walentyna nie raczy jej objaśnić, mówiła dalej:

– Teraz chciałabym umieć to co pani... Już bym się wtedy nie uczyła – oho! Ale później – miałabym dużo do roboty. Zapłaciłabym parobkom pensje, żeby się tak nie marszczyli jak dziś, kiedy mi się kłaniają. Potem – kazałabym opatrzyć te rany

na drzewach, bo mówił mi ogrodnik, że niedługo u nas wszystko poschnie i spróchnieje. Naturalnie – wypędziłabym także lokaja za to, że strzela ptaki nad wodą i wypala szczyrom oczy... Niegodziwiec!...

Anielka wstrząsnęła się.

– Potem – zawiozłabym mamę i Józia do Warszawy. Nie!... To zrobiłabym najpierwej, a pani – dałabym w prezencie cały pokój książek... cha!... cha!...

I chciała uścisnąć pannę Walentynę, która odsunęła się od niej.

– Żałuję cię! – odparła sucho nauczycielka. – Masz dopiero lat trzynaście, a pleciesz jak prowincjonalna aktorka o rzeczach, których cię nikt nie uczy, i zaniedbujesz te, które do ciebie należą. Jesteś za mądra na swój wiek i dlatego nigdy nie zapamiętasz jeografii.

Anielka zawstydziała się. Czy ona jest rzeczywiście za mądra, czy też panna Walentyna...

W lewym kącie ogrodu był wzgórek, na nim duży kasztan i ławka kamienna. W tej chwili właśnie weszły tu Anielka z panną Walentyną i usiadły.

– Daj mi książkę – rzekła guwernantka – znajdę ci historię Grzegorza. Aha! mamy znowu psią wizytę...

Istotnie Karusek wbiegał na wzgórze, mocno zadowolony. W otwartym pysku niósł odrobinę pierza, które prawdopodobnie zdobył w pogoni za kogutem.

– Pani zupełnie nie lubi psów? – spytała nagle Anielka,

głaszcząc Karusia.

– Nie.

– Ani ptaków?

– Nie – odparła rozdrażniona nauczycielka.

– Ani ogrodu?... Woli pani czytać książkę aniżeli spacerować między drzewami? Prawda. W pokoju pani nie ma doniczki ani ptaszka. Dawniej przylatywały tam wróble, którym dawałyśmy jeść, i Karusek też wbiegał po schodkach, choć był mały i gruby. Karmiłam go wtedy bułką owiniętą w gałganek i umaczaną w mleku. On ją ssał, a razem z nim kotek tej nauczycielki, która była przed panią. Ach, co oni dokazywali!... jak gonili papierek, który ciągnęłam za nitkę po podłodze! Ale pani nie lubi Karuska ani małych kotków, ani...

Anielka umilkła, gdyż panna Walentyna wstała nagle z ławki i patrząc na dziewczynkę z góry poczęła mówić rozdrażniona:

– Co tobie za pytania chodzą po niedojrzałej głowie?... Co tobie do tego, że ja nic nie lubię?... Naturalnie, że nie lubię... Ani kotów, bo mi je strzelano albo wieszano, ani psów, bo mnie gryzły, ani ptaków, bo mi ich nie było wolno trzymać...

I kwiatów nie chcę... Alboż jest na świecie grządka ziemi, która by należała do mnie? Ja przecież nie pochodzę z jaśnie panów! Spacerować także mi zbrzydły, bom na nich musiała być stróżem i niewolnicą dzieci – złych...

O, jakaś ty ciekawa, moja Anielciu!... jak ciebie interesują cudze gusta!

Niespodziewany ten wybuch złości czy też tkliwości wzruszył

Anielkę. Schwyciła guwernantkę za chudą, drżącą rękę pragnąc przycisnąć ją do ust. Ale panna Walentyna szarpnęła się gwałtownie i odskoczyła w tył.

– Więc pani gniewa się na mnie? – spytała zmieszana dziewczynka.

– Tyś nic temu nie winna, że cię źle wychowano... – odparła guwernantka i szybko odeszła ku domowi.

Anielka obraziła się i usiadła na ławce pod kasztanem. Przy niej legł Karuś.

„Zabawna sobie ta panna Walentyna! – myślała dziewczynka – za wszystko gniewa się. Sama nic nie lubi i nie chce, ażeby u nas było dobrze. Co by jej szkodziło, gdyby ten ogród był piękniejszy?... Albo żeby parobcy nie marszczyli się?... Przecież sam Pan Bóg kazał wszystko kochać... A dawnoż to mówił ksiądz dziekan, że lepiej zasadzić jedno drzewo albo pocieszyć jednego biedaka aniżeli wszystkie rozумы pozjadać...”

Później przypomniała sobie, że jeszcze parę lat temu było u nich lepiej. I ludzie weselsi, i dobytek piękniejszy, i ogród ładniej utrzymany.

Jakże prędko zmieniają się rzeczy na tym świecie, skoro nawet trzynastoletnie panienki umieją to ocenić!...

Wtem z odległości kilkudziesięciu kroków doleciał Anielkę cienki głosik dziecięcy:

– Malu!... malu!... maluśki!... – któremu odpowiedziało wesołe chrząkanie prosięcia.

Karusek podniósł uszy. Anielka zapomniawszy o swych medytacjach jednym skokiem stanęła na ławce i rozejrzała się.

Za ogrodzeniem parku ciągnął się gościniec do miasteczka. Z daleka widać było furę otoczoną tumanem kurzu, w którego kłębach iskrzyły się promienie słońca. Blżej – szło dwu ubogich Żydków.

Jeden niósł jakiś duży przedmiot w szarej płachcie, drugi kiwające się buty na lasce.

Jeszcze bliżej między konarami drzew i dygoczącymi liśćmi, tuż naprzeciw białych kominów dworu, stała chata włościanina Gajdy, a przy niej dziewczynka w grubej koszuli.

Siedziała ona na ziemi i okruchami chleba karmiła spore prosiątko. Potem wzięła ciągle chrząkające prosię na kolana i bawiła się nim jak pieskiem.

Na Anielkę szczególna ta grupa wywierała taki wpływ jak żelazo na magnes. Zeskoczyła z ławki, zeszła ze wzgóрка, ale po chwili – zatrzymała się.

Gajdę, właściciela chaty, bardzo nie lubił ojciec Anielki. Wieśniak ten był niegdyś jego parobkiem i mieszkał w domu, którego później stał się posiadaczem, nieprawym – jak mówił ojciec. Za to nie brano go nigdy na robotę do dworu, a że Gajda miał mało gruntu, więc często na terytoriach swego niegdyś chlebowdawcy dopuszczał się nadużyć.

Od kilkunastu lat ojciec Anielki i Gajda pasowali się z sobą. Zniecierpliwiony dziedzic chciał już kupić grunt Gajdy, byle pozbyć się niewygodnego sąsiada; ale wieśniak ani słuchał

podobnych propozycji. Nie było prawie miesiąca, żeby Gajdzie nie zajęto krowy, konia albo świni do dworu. On wówczas chodził ze skargą do gminy, odbierał bydłę na mocy wyroku albo wykupywał je. Dziedzic mówił, że Gajda płacił pieniędzmi wziętymi za drzewo kradzione w dworskich lasach.

Anielka wiele słyszała o tych stosunkach (bo o czym nie słyszała?), bała się Gajdy i nie lubiła jego chaty. Mimo to pociągał ją widok dziewczyny bawiącej się z pogardzanym przez wszystkich prosiątkiem. Zdawało się Anielce, że dziecko musi być biedne i dobre, a zresztą – coś ciągnęło ją tam.

Odgarniając gałęzie krzaków Anielka powoli zbliżyła się do płotu zbudowanego na kształt palisady. Był on stary, obrosły ciemnozielonym mchem i popielatym, łatwo rozcierającym się w palcach porostem. Co kilkanaście kroków stały tęgie, zaostrome słupy, utrzymujące za pomocą długich poziomych ramion rzędy również ostro zakończonych łat, które, zmęczone długoletnią służbą, całym ciężarem chyliły się naprzód albo wywracały w tył. Gdzieniedzie brakło już łat; w innych miejscach jaśniejszy kolor i mniej staranne obrobienie zdawały się opowiadać, że płot naprawiano w nowszych czasach, ale już z mniejszym nakładem.

Zapominając o swych trzynastu latach i stanowisku młodej dziedziczki Anielka przez jeden z szerszych otworów wydostała się na gościniec i podeszła do dziewczyny w grubej koszuli.

Ubogie dziecko w pierwszej chwili przestraszyło się ładnie ubranej panienci ze dworu. Otworzyło szeroko usta i podniosło się z ziemi, jakby chcąc uciekać. Wtedy Anielka wydobyła

sucharek z kieszeni i ukazując go dziewczynce zawołała:

– Nie bój się mnie! Ja ci przecież nic złego nie zrobię. Widzisz oto, com dla ciebie przyniosła. Pokosztuj no!

I włożyła dziecku do ust kawałek olukrowanego ciasta. Dziewczyna zjadła nie spuszczać z Anielki zdziwionych oczu.

– Masz jeszcze. Smakuje ci – co?...

– Dobre – odpowiedziało dziecko.

Anielka usiadła na przewróconym pniu, obok niej przykucnęła na piasku dziewczyna.

– Jak ci na imię? – spytała głaszcząc ją po tłustych, jasnożółtawych włosach.

– Magda.

– Masz, Magdziu, jedz jeszcze sucharek. A to prosię czy twoje? – dodała patrząc na prosiaka, którego Karuś chciał za ogon schwytać i który odwrócił się do niego ryjem, pokwikuując w sposób okazujący mało ufności.

– Tatulowe – odparła już nieco ośmielona dziewczyna. – Żeby go choć pies nie zagryzł...

– Karusek, do nogi!... To ty zawsze bawisz się z prosiątkiem?

– A jużci. Jałoska już urosła, a Kaśka tego roku umarła... Malu! malu!... I on woli być ze mną, bo także nie ma z kim chodzić. Maciorę dziedzic kazali zastrzelić, a drobiazg tatulo sprzedali. Ino ten ostał.

– A za co maciorę zastrzelili?

– Bo zdybał ją dziedzic w szkodzie.

– Wyście tylko jedną mieli?

– A skądby więcej? Tatulo przecie chłop, to u nas dobytku nie może być wiele...

To mówiąc głaskała prosiaka, który położył się obok niej.

– I bardzo ci było żal maciory?

– O i jak! a jeszcze lepiej, kiej mnie tatuś zbili...

– Zbił cię?

– I nie tak zbili, ino mnie wzięli za łeb i kopnęli parę razy nogą.

Dziecko opowiadało to bardzo spokojnie. Anielka aż pobladała. Zdawało się jej, że Karusek został zabity i że ją samą skatowano tak okrutnie.

Uczuła potrzebę wynagrodzenia tylu krzywdej biednej, ale czym? Gdyby miała majątek, podarowałaby jej maciore, sprawiła piękną sukienkę, lecz dziś – cóż jej da?

Wtedy spostrzegła, że Magda pilnie przypatruje się szafirowej wstążeczce, którą miała na szyi. Nie namyślając się więc, zdjęła szybko wstążkę i zawiązała ją przy koszuli małej.

– Teraz będziesz ubrana tak jak ja – rzekła.

Magda roześmiała się na cały głos wyobrażając sobie, że już posiada nie tylko szafirową wstążkę, ale różową sukienkę, białe pończochy i wysokie buciki.

– A to jeszcze sobie zjedz – mówiła Anielka dając jej drugi sucharek.

– Zjem aż jutro, bo to słodkie.

– A za to, że cię zbili...

Ucałowała ją.

Pocałunek przecie, który Anielka uważała za najwyższą

nagrodę, najmniej oddziałłał na Magdę. Ścisnęła ona sucharek i co chwilę spoglądała na szafirową wstążkę myśląc, że jest całkiem podobna do wielkiej damy.

Tymczasem na zakręcie drogi rozległ się turkot i podniósł się obłok kurzu. Elegancki koczyc nadjeżdżał pędem. Nim Anielka zorientowała się, co to może znaczyć, kocz stanął naprzeciw chaty.

– Ojczulku! – zawołała Anielka biegnąc do powozu.

Ale ojciec spostrzegł ją pierwej jeszcze i dlatego nie pocałował jej, tylko zawołał surowo:

– Panna Aniela na gościńcu!... Winszuję... Co ty tu robisz?

...

Anielka przestraszona milczała.

– Piękny masz dozór... wybornie postępujesz... nie ma co mówić. Biegasz po trakcie i tarzasz się w piasku z jakimś brudnym bachorem i prosięciem!...

Proszę iść do domu. Wrócę tam zaraz, a wtedy rozmówimy się. Nie przypuszczałem nigdy, ażebyś mogła tak ciężko zmartwić ojca!...

Na dany znak powóz ruszył zostawiając Anielkę osłupiałą ze strachu.

„«Rozmówimy się!» O Boże, co to znaczy?”

Magda uciekła aż do progu chaty, niespokojnie patrząc na oddalający się powóz, za którym pogonił Karusek. Anielka odwróciła się do niej i skinęła na pożegnanie ręką.

– Bądź zdrowa, Magdziu! – rzekła. – Pewnie będę miała duży

kłopot za to, że tu przysła...

Pobiegła do otworu w płocie i za chwilę zniknęła w gąszczu. Za nią popędził Karusek, a za nimi obojgiem – Magda.

Rozumiała ona, co znaczy: duży kłopot, i rada była przynajmniej dowiedzieć się o przyszłych losach nowej przyjaciółki. Zbliżyła się ostrożnie do płotu i położywszy palec na ustach, to nasłuchiwała, to zaglądała do ogrodu. Ale na wejście tam zabrakło jej odwagi.

Wtedy we drzwiach chaty ukazał się człowiek olbrzymiego wzrostu, bosi, z rozpiętą koszulą na piersiach. Włożył obie ręce za pazuchę i patrzył to w stronę powozu, który już znikł, to na ogród, w którym ukryła się Anielka, to na dach i kominy dworu.

– Wyrodziła się! – mruknął. Stał jeszcze chwilę i wrócił do izby.

Z bijącym sercem zbliżała się Anielka do domu. Trapiły ją dwa zmartwienia. Obraziła rzadko widywanego ojca i przypawiła o silne wzruszenie swoją nauczycielkę.

„Co to będzie, jak ojciec z nią «rozmawiać» zacznie? Panna Walentyna niezawodnie połączy się z nim. Matka zasłabnie jeszcze bardziej...”

Nurtował ją męczący niepokój, pod wpływem którego ogród wydał się jej brzydki, a dom straszny.

W jaki tu by sposób przygotować matkę do nadciągającej burzy?

Stała za drzewem, spod którego widać było dwór, i poczęła śledzić, co się w nim dzieje.

Obdarzona bardzo silnym wzrokiem spostrzegła, że matki ani Józia nie ma już w oszklonej altanie i że panna Walentyna jest w swoim pokoju na facjacie. W ogrodzie – pustka, tylko z podwórza, leżącego po drugiej stronie domu, dolatywał ją krzykliwy głos Kiwalskiej, gdakanie kur i żaloszny wrzask pawia.

– A-ho!... a-ho!...

Smutno! smutno!

W otwartym oknie na facjacie ukazała się guwernantka.

„Pewnie mnie zawoła” – pomyślała Anielka.

Ale panna Walentyna nie zawołała jej, tylko oparłszy się łokciami na krawędzi okna patrzyła w ogród. Potem cofnęła się w głąb pokoju i powróciwszy znowu, poczęła kruszyć chleb na wystający daszek. W kilka minut później przyleciał tam wróbel, za nim parę innych i poczęły dziobać okruchy trzepocząc się wesoło.

Pierwszy to raz stara panna pomyślała o nakarmieniu ptaków. Od tej pory robiła tak co dzień, nad wieczorem, jakby lękając się, aby nie wypatrzyło jej obce oko.

Wypadek ten, zresztą niezmiernie prosty, otuchą napełnił duszę Anielki. Nie wiadomo z jakiego powodu pomyślała, że po takim objawie uczuć ze strony panny Walentyny dla ptaków może ojciec będzie na nią łaskawszy... „Osobliwa logika w tak dorosłej panience!” – powiedziałyby niezawodnie guwernantka.

## **Rozdział czwarty. Dziedzic odbywa naradę ze Szmulem, po czym jest uprzejmy dla żony, Anielki, a nawet – dla guwernantki**

W półtorej godziny później przyjechał do domu dziedzic, a wraz z nim – Szmul, dworski pachciarz i dzierżawca karczmy.

Ojciec był roztargniony i zafrasowany. Wszedł prędko do pokoju matki, przywitał się z nią krótko, ucałował ledwie żywą Anielkę i Józia i – zdawał się całkiem nie pamiętać o spotkaniu na gościńcu.

– Jakże się miewasz? – spytał żony, nie siadając nawet.

– Ja, *comme à l'ordinaire* – odparła. – Nie mam sił, nogi mi drżą, serce bije, wszystkiego lękam się, apetyt mam niewielki i żyję tylko ekstraktem słodowym.

– A Józio? – przerwał ojciec.

– *Pauvre enfant...* zawsze osłabiony, pomimo że wciąż bierze pigułki żelazne.

– Nieszczęście z tym osłabieniem, które podobno zwiększają tylko twoje lekarstwa! – odparł ojciec i postąpił ku drzwiom.

– Anielcia dobrze się uczy, zdrowa? – spytał. – Może i w niej wynajdziecie jaką chorobę?...

– Więc już odchodzisz po dziesięciodniowej nieobecności?

– zawołała matka. – Tyle mam z tobą do pomówienia... Chciałabym koniecznie w lipcu albo w sierpniu pojechać do Chałubińskiego, gdyż przeczuwam, że on jeden...

– Chałubiński dopiero w końcu września wraca do Warszawy. Zresztą pogadamy o tym później. Teraz muszę załatwić parę interesów – odpowiedział niecierpliwie ojciec i wyszedł.

– *Toujours le même!* – westchnęła matka. – Od sześciu lat po całych tygodniach załatwia interesa i nigdy ich skończyć nie może. A ja chora, Józio chory, gospodarstwo upada, jacyś nieznani ludzie oglądają majątek, nie wiem po co? O, ja nieszczęśliwa! łez mi wkrótce nie stanie... *Joseph, mon enfant, veux-tu dormir?*

– *Non* – odpowiedział chłopiec na pół senny.

Anielka tak osłuchiwała się z narzekaniami matki, że i obecne żale nie zmieniły w niczym jej uwielbienia dla ojca. Owszem, uczucie to spotęgowało się w niej, przypuszczała bowiem, że ojciec za dzisiejszy występki na gościńcu chce ją ukarać bez świadków. Dlatego przywitał się, jakby nigdy nic nie zaszło, i uciekł do swej kancelarii.

„Kiedy Szmul wyjdzie, pewnie mnie wtedy ojciec zawoła – mówiła do siebie Anielka. – Pójdę już lepiej sama i poczekam, to się mama niczego nie domyśli...”

Taki zrobiwszy plan, wysunęła się cichaczem do ogrodu, aby być bliżej pokoju ojca. Przeszła parę razy pod otwartym oknem, ale ani ojciec, ani Szmul nie zwrócili na nią uwagi. Postanowiła zatem czekać i usiadła pod ścianą na kamieniu, dręczona wielkim

strachem.

Tymczasem ojciec zapalił cygaro i wygodnie rozsiadł się na fotelu. Szmul zajął miejsce na drewnianym krzeselku, które umyślnie ustawiono dla niego pode drzwiami.

– Więc powiadasz – mówił dziedzic – że nie ziemia naokoło słońca obraca się, ale słońce naokoło ziemi?...

– Tak stoi w naszych książkach – odparł Szmul. – Ale, z przeproszeniem, jaśnie pan chyba mnie nie po to tu przywiózł?

...

– Cha! cha!... masz rację!... Otóż, przystępując od razu do rzeczy, wystarasz mi się o trzysta rubli, jutro – do południa.

Szmul włożył obie ręce za pas, kiwał głową i uśmiechał się. Przez chwilę obaj milcząc przypatrywali się sobie. Pan jakby chciał zbadać, czy nie zmieniło się co w bladej twarzy, czarnych, żywych oczach i szczupłej, schylonej nieco postaci Żyda. Żyd jakby podziwiał piękną blond brodę, posągowe kształty, nieporównane ruchy i klasyczne rysy pana. Zresztą po raz tysięczny obaj mogli przekonać się, że każdy z nich był modelowym okazem swojej rasy, co jednak w niczym nie przyczyniło się do załatwienia interesu.

– No, i cóż ty na to? – przerwał milczenie pan.

– Ja myślę, bez urazy jaśnie pana, że prędzej w pańskiej sadzawce zdybalibyśmy jesiotra aniżeli jedną sturublówkę w okolicy. Myśmy tu tak wszystkie wyłapali, że ten, co by chciał dać, to ich nie ma – a kto je ma, to nie da.

– Jak to, więc już nie mam kredytu między ludźmi?

– Z przeproszeniem, ja tego nie powiedziałem. My kredyt mamy zawsze, tylko nie mamy ewikcji i dlatego nikt nam nie pożyczy.

– Cóż, u licha! – mówił pan jakby do siebie – przecie wszyscy wiedzą, że lada dzień sprzedam las i wezmę pozostałe dziesięć tysięcy rubli...

– Wszyscy wiedzą, że jaśnie pan już wziął trzy tysiące rubli, i jeszcze wiedzą, że z chłopami targ o zniesienie serwitutów idzie kiepsko.

– Ale się lada dzień skończy.

– Bóg wie!

Dziedzic zaniepokoił się.

– Czy słyszałeś co nowego?

– Słyszałem, że chłopci chcą już po cztery morgi na osadę...

Pan aż skoczył na fotelu.

– Ich ktoś buntuje! – zawołał.

– Może być.

– Pewnie Gajda?

– Może Gajda, a może i kto mądrzejszy od Gajdy.

Dziedzic dyszał jak lew podrażniony.

– Ha, mniejsza – mówił. – Ależ w takim razie sprzedam majątek i wezmę sto tysięcy rubli gotówką.

– Długów jest więcej – wtrącił Żyd – i te muszą być zaraz spłacone.

– Więc odwołam się do pomocy ciotki i u niej zaciągnę pożyczkę...

– Jaśnie prezesowa już nic nie da... Ona kapitałów nie ruszy, a procenta sama woli tracić.

– To po jej śmierci...

– Aj!... jaka ona zdrowa, to strach! Jeszcze sobie niedawno nowe zęby w Paryżu zakupiła...

– Ale kiedyś umrze...

– A jak, z przeproszeniem, nic jaśnie panu nie zapisze?...

Dziedzic zaczął z gorączkowym pośpiechem chodzić po pokoju. Żyd podniósł się z krzesła.

– Poradźże mi! – zawołał stając nagle przed pachciarzem.

– Ja wiem, że jaśnie pan nie zginie, choćby i ten Niemiec dobra kupił. Jaśnie pan będzie zawsze żył między jaśnie państwem, a jak (tu Szmul zniżył głos) z przeproszeniem – jaśnie pani kiedy... tego... to jaśnie pan ożeni się.

– Głupiś, Szmulku – rzekł dziedzic.

– To jest prawda, ale pani Weiss ma dwa miliony gotówką. A co sreber, kosztowności...

Dziedzic schwycił go za ramię.

– Milcz! – ofuknął. – Potrzebuję trzystu rubli i o nich myśl...

– I to można zrobić... – odparł Szmul.

– W jaki sposób?

– Poprosimy pani Weiss...

– Nigdy...

– To musi jaśnie pan dać zastaw, a ja od Żydków wydobędę pieniądze.

Dziedzic uspokoił się, znowu usiadł i zapalił cygaro. Żyd po

chwilowej przerwie mówił dalej:

– Aj! jaśnie panu to i pod wozem, i na wozie dobrze, ale co ze mną będzie? Ja nawet kwitów nie mam... Żeby choć był jaśnie pan młyn wystawił, o co tyle lat proszę.

– Nie było pieniędzy.

– Były nieraz i niejedne. Teraz także jaśnie pan wziął trzy tysiące rubli, ale wołał powóz kupić i pokoje wylepić... A nade mną wciąż wisi strach...

– Zarobiłeś na tym interesie z pięćset rubli.

– Możem zarobił, możem stracił, a zawdy wołałbym młyn. Co stoi wsadzone w ziemię, to jest wartość, a z pieniędzmi tylko kłopot i wielkie chodzenie dla złodziejów.

– No – przerwał dziedzic – zaczekaj tu, a ja tymczasem pomyślę o wynalezieniu ci zastawu.

– Niech i tak będzie, kiedy jaśnie pan każe.

Przez cały czas rozmowy ojca ze Szmulem Anielka pogrążona była w tym przykrym i chaotycznym stanie duszy, jaki zwykle wywołuje obawa. Podrażniona imaginacja bezświadomie usiłowała rozstrzygnąć pytanie: co też powie jej ojciec? – i w odpowiedzi na to tworzyła z przeszłych wspomnień i teraźniejszych wrażeń obrazy smutne i bezładne.

Dziewczynka parę razy widziała zagniewanego ojca i w tej chwili nie mogła opędzić się przed jego zmarszczonym czołem i najeżonymi brwiami. Ścigały ją błyszczące, wprost na nią zwrócone oczy i dźwięczny, podniesiony głos.

Potem widziała biedną Magdę, którą jakiś człowiek targał

za włosy i kopał, a dalej – pannę Walentynę chłodną, ale nieubłaganą, która w milczeniu, ze spuszczonej oczyma, układała straszny plan przeciw Anielce.

Rozmowę ojca ze Szmulem dziewczynka słyszała dokładnie, lecz na razie nie pojmowała jej. W umyśle Anielki pozostał jednakże niewyraźny obraz jakiejś damy obok ojca...

Nad tym wszystkim unosił się Szmul, który patrzył Anielce w oczy i uśmiechał się złośliwie, a zarazem smutno, jak to było w jego zwyczaju.

„Boże! Boże!... jaki ten Szmul niegodziwy!... Co on powiedział ojcu!... Kto jest ta pani Weiss?” – pytała siebie samej z przestachem.

Nie mogła wytrzymać w tym miejscu. Pobiegła do swego pokoju i siedziała tam przez długi czas na krześle czekając, aż ją wezwą, cicha, przełęczniona.

Ale nie zawołano jej tak prędko. Kolacja była dziś spóźniona, ponieważ ojciec długo rozmawiał z matką.

Tym razem ojciec miał doskonały humor. Wszedł do pokoju nucąc i stanąwszy obok fotelu matki rzekł do niej pieszczotliwie:

– Buzi!

– Nareszcie, po dziesięciu dniach – rzekła matka. – *Je suis charmée*, żeś sobie przypomniął o mnie, od czego już odwykłam. Choroba, pustka i rozpaczliwe myśli, *voici mes compagnons!* Jeżeli mam powiedzieć prawdę, to w tym ponurym pokoju nawet twoja wesołość robi na mnie przykre wrażenie...

– No, nie dziwacz, moja Meci. I twoja samotność, i choroba

skończą się wkrótce, tylko – cierpliwości. Jestem na drodze do zrobienia świętego interesu i bylebym zebrał potrzebne fundusze...

– *Assez! assez! Je ne veux pas écouter cela!*... Znowu interesa i pieniądze! Ach, nie zasną dziś...

– Ależ poczekaj, powiem ci i co innego. Wyobraź sobie, że Władysław jest już po słowie z panią Gabriellą. Pocziwa rozwódka pożyczyła mu pięć tysięcy rubli, za które ekwipuje się jak książe. Gdybyś widziała jego odświeżony pałacyk, meble i powozy...

– Nie chce mi się wierzyć – przerwała pani – aby Gabriela wyszła za szalawinę, który w ciągu kilku lat stracił ogromny majątek...

– Przepraszam cię. Nie stracił, tylko zadłużył, ale przy kapitale żony wyrobi się. Żyjemy w epoce przejściowej, w której zachwiane zostały najznakomitsze fortuny...

– Wiem!... przez karty i zabawy.

– Nie bądźże złośliwą, tym bardziej że nieoceniony Władek oddał mi wielką przysługę w pewnym interesie. I gdybym znalazł pieniądze...

– Znowu interes i pieniądze!...

– A, doprawdy, że nie poznaję cię, Meciui! – zawołał zgorszony mąż. – Wiesz, że sam nie lubię rozprawiać o drobiazgach, a tym bardziej ciebie nimi nudzić, ale obecnie chodzi o kwestię serwitutów, o nasz majątek, stanowisko, przyszłość dzieci. Wszystko to nie może przecie rozbić się o

jakieś kilkaset rubli...

– Więc znowu zabrakło ci pieniędzy? – spytała zdziwiona pani.

– Naturalnie, i tym razem postanowiłem ciebie prosić o pomoc...

Pani zasłoniła oczy chustką i zapytała żałośnie:

– Mnie?... a cóż ja ci pomogę?... Cały mój posag stracony, połowa klejnotów w zastawie, ja nie mam za co pojechać do Chałubińskiego, który, czuję to, powróciłby mi zdrowie. A nie wspominam już o nieszczęśliwym Józiu, o tym, że służba nie zapłacona, że wiele bierze się na kredyt... *Oh, malheureuse que je suis!* łez mi już wkrótce zabraknie...

– Meciui! zaklinam cię, uspokój się – błagał ją mąż. – Ty nie chcesz pojąć, że wszystkie majątności, cały ogół przechodzi epokę krytyczną, która dla nas specjalnie skończy się za dni kilka. Gdy ureguluję serwituty, natychmiast wezmę dziesięć tysięcy rubli i włożę w meliorację dóbr. Urodzaje wówczas poprawią się, długi spłacimy, a tymczasem sprzedamy drugą część lasu i wyjedziemy za granicę. Tam odżyjesz, będziesz znowu bawić się i błyszczeć jak niegdyś...

– *Vain espoir!* – szepnęła pani. – Zawsze mi to powtarzasz, ile razy chodzi o mój podpis...

– Teraz nawet podpisu nie potrzeba, Meciui! – pochwycił mąż. – Dasz mi tylko na tydzień... dwa... twój naszyjnik...

– *Malheur! malheur!* – szepnęła pani.

– Najdalej za miesiąc będziesz miała wszystkie twoje

klejnoty...

– Łez mi już wkrótce zabraknie...

– W początkach zaś października odwiozę cię do Warszawy, gdzie o ile mi się zdaje, będziesz mogła przepędzić całą zimę...

– Tylko dla odzyskania zdrowia – szepnęła.

– No, i trochę dla rozrywki! – odparł mąż z uśmiechem. – Teatr, koncert, a nawet jakiś tańczący wieczorek nie zaszkodzą ci.

– Zapewne tańczyć będę w tych przedpotopowych sukniach, które butwieją w szafie...

– No, no!... Ty wiesz, że kupisz sobie nowych, ile zechcesz.

Pani opuściła głowę na piersi i po chwilowym namyśle rzekła:

– Weź sam ten naszyjnik z biurka. Boże! czuję, że umarłabym z rozpaczy, gdybym teraz spojrzała na niego.

– Ale za to jak ci będzie przyjemnie wystąpić w nim kiedyś! Ile razy spojrzysz na niego, przypomnisz sobie, żeś nie zawahała się przed spełnieniem obowiązków względem dzieci i stanowiska...

Z tymi słowy poszedł do biurka i szukając tam, ciągnął dalej:

– Chwilowe przykrości potęgują następującą po nich przyjemność. Zwykły kamień nabywa ceny, jeżeli spełnił się wobec niego jakiś doniosły wypadek. A pomyśl tylko, ile w oczach córki twojej mieć będzie wartości ten zbiór świecidełek, gdy zapinając go na jej szyi, powiesz: „Te brylanty w stanowczej chwili przesilenia społecznego uratowały nasze stanowisko, nasz byt...”.

Wydobył z szuflady spore, safianowe pudełko, schował je do kieszeni, a potem, schyliwszy się nad żoną, szepnął:

– Buzi!...

– O, jakże bym była szczęśliwa... – rzekła pani.

– Gdyby już nadeszła chwila, o której mówiłem?... – spytał mąż śmiejąc się.

– Gdybym ci mogła wierzyć...

– O, kiedy znowu dziwaczysz, Meci! – odparł niecierpliwie.  
– Rozumiem, że słabość twoja może cię rozdrażniać, ale trzeba choć trochę umieć panować nad sobą...

Mówił to już na progu pokoju, śpiesząc do kancelarii, gdzie go oczekiwał Szmul.

Pani została sama. Widok pięknej twarzy męża i rozmowa z nim cofnęły ją wstecz o kilkanaście lat nasuwając porównania, które budziły wątpliwości i tęsknotę.

Byłże to on, ten król towarzystw, wyrocznia dobrego tonu, ten zakochany rycerz, który marzył niegdyś u jej stóp? Onże to – niewyczerpany w obmyślaniu figur mazura, znawca, a często kompozytor najwykwintniejszych toalet damskich? On, bez którego nie odbył się żaden kulig, bal, pojedynek? On, który zakochanym panom udzielał najlepszych wskazówek co do sposobu zdobywania serc? On, bez którego opinii nie podobna było wydać dużego obiadu?

Jego znajomość prawideł towarzyskich była kodeksem, jego dowcipy obiegały całą okolicę, jego dom był akademią obyczajów. Najdrażliwsze spory o zabicie cudzego psa, o wyjęcie

chustki z kieszeni na balu lub o sprzedanie chorego konia on jednym słowem łagodził. W połowie zbudowany pałac magnata przerobiony został na gorzelnię, ponieważ Jasiowi nie podobał się rozkład pokojów.

A dziś – człowiek ten nie może dać sobie rady z kłopotami majątkowymi i u własnego pachciarza zdobywa ufność za pomocą naszyjnika!

Rzeczywiście, jest to epoka przejściowa, która wszystkich jednakowo dotknęła. Ci – zbankrutowali, tamci z resztką fortuny wynieśli się do miasta, inni zerwali stosunki z tym, którego zwano niegdyś: *primus inter pares!* Cóż on winien, że ludzie nowi, legion dorobkiewiczów, nie mówią już dziś o weselach krakowskich, polowaniu i obyczajach towarzyskich, ale o płodozmianie, buchalterii i hodowli bydła? Jaką radę dać sobie może ten na szczytach życia przebywający umysł z poziomą tłuszczą Żydów, Niemców i chłopów, którzy nie zrozumieli jeszcze wartości rękawiczek i perfum?

Tak marzyła pani ubolewając nad swoją chorobą, która w oczach jej usiłowała przyćmić blask otaczający męża.

Wszedł lokaj.

– Proszę jaśnie pani, samowar na stole.

– Pan już jest?

– Dałem znać jaśnie panu.

– Poproś panny Anieli i powiedz guwernantce.

Lokaj wyszedł.

– *Joseph, mon enfant, veux-tu prendre du thé?* ...śpi, biedne

dziecko!...

Wyszła przez pokój jasnoniebieski i sień do pokoju jadalnego, a za nią włókł się długi ogon białego szlafrocza. Wkrótce ukazała się ciągle strwożona Anielka i milcząca guwernantka, a po nich pan.

Pan grzecznie podał rękę guwernantce, której szyja i twarz pokryły się barwą ceglastą. Siadła naprzeciw niego i patrzyła pod stół. Ludzie powierzchowni sądzą by gotowi, że na pannie Walentynie mężczyźni robili piorunujące wrażenie, choć łatwo mogliby się dowiedzieć od niej, że w taki, a nie inny sposób uczona osoba manifestowała swoją niechęć do arystokracji.

„Okropny człowiek! – myślała patrząc na niego przez spuszczone rzęsy. – Ile on ofiar unieszczęśliwił...”

Przypomniała sobie bowiem, że piękny dziedzic miał bardzo czułe serce dla jej płci, skutkiem czego służba żeńska nigdy zbyt długo nie mogła utrzymać się we dworze.

„A tak rzadko w domu bywa – uzupełniła w duchu. – Boże! gdyby ciągle siedział, musiałabym chyba wyrzec się kształcenia tej zaniedbanej Anielki...”

Dziedzic od niechcienia położył obie ręce na stole i patrząc na pannę Walentynę (zdawało jej się, że w sposób zuchwały) mówił do służącego:

- Każ mi zrobić mały kawałek befsztyku po angielsku...
- Nie ma mięsa, jaśnie panie!
- Jak to? – już w czerwcu nie można mięsa dostać?...
- Dostać można, ale jaśnie pani nie posyłała do miasta...

Matka i Anielka mocno zarumieniły się. Obie wiedziały, że nie posłano po mięso przez oszczędność.

– Każ mi więc ugotować parę jaj na miękko – rzekł pan topiąc w nauczycielce melancholijne spojrzenie.

Panna Walentyna uznała za stosowne odezwać się:

– Jaj zapewne nie ma, ponieważ były dziś na obiad, a oprócz tego ja pijam co dzień surowe.

– Widzę, Meciui – mówił pan – że twoja Kiwalska bardzo zaniedbuje się w gospodarstwie.

– Stosuje się do wyznaczonych jej funduszków – wtrąciła się nauczycielka biorąc w obronę znienawidzoną klucznicę dla dokuczenia panu.

Słowa jej ubodły dziedzica.

– Czy jesteś, Meciui, tak słabą, że pannę Walentyne obarczasz obowiązkami kasjerki?... – spytał.

– *Mais non!*... – szepnęła zmieszana pani.

W duszy starej panny zbudziła się jędza.

– Nie byłoby w tym nic złego – wtrąciła z uśmiechem. – Szmul jest kasjerem pana, ja więc mogłabym ten urząd pełnić przy pani.

– Zapewne – odparł dziedzic lekko marszcząc brwi – choć nie sądzę, aby mogło się to dziać bez uszczerbku dla Anielci.

Anielce o mało że łyżeczka z rąk nie wypadła.

– Ot i dziś – mówił dalej – znalazłem ją na publicznej drodze.

– Anielkę?... – spytała razem matka i guwernantka.

– Tak, ją. Na szczęście nie samą. Towarzyszyła jej córka tego zbója, Gajdy, i – prosię...

– Anielce... – szepnęła matka.

– Widzi więc pani – ciągnął zwracając się z uśmiechem do guwernantki – na co jest narażona moja córka nawet obecnie, gdy pani jeszcze nie raczy zajmować się kasą... Szuka sobie stosunków między pastuszkami i prosiętami...

Panna Walentyna słuchając tego była szaroniebieska.

– Ha! któż wie – odparła z wymuszonym chłodem – czy stosunki te nie przydadzą się jej kiedy...

– Z prosiętami?

– Z dziećmi ludu. Dotychczas była moda, że panowie przyjaźnili się tylko z Żydami, a do czego to ich doprowadza, widzimy niekiedy. Może więc następne pokolenie z konieczności zbliży się do chłopów...

Panu usta drgały, ale pokrył to śmiechem.

– Panna Walentyna jest zapaloną demokratką – odezwała się szybko przerażona pani. – Obok tego jednak Anielka tyle przy niej korzysta...

– Nie wszyscy zdają się to rozumieć! – wtrąciła półgłosem guwernantka patrząc prosto w oczy panu, wbrew zwykłej skromności.

Triumfowała pewna, że teraz przynajmniej jest zabezpieczoną od nagabań straszego zdobywcy serc.

Istotnie, sposób ubezpieczenia był bardzo radykalny. Ale pan pomyślał w tej chwili, że guwernantce zalega kwartalna pensja, i nie odpowiedział jej nic. Zwrócił się tylko do córki i rzekł:

– Anielko!...

Dziewczynka wstała z krzesła i zbliżyła się ze drżeniem do ojca, sądząc, że to już nadchodzi okropna chwila. Stół, samowar, cały pokój krążyły jej przed oczyma.

– Słucham tatkę...

– Przybliźże się...

O mało nie upadła.

– Proszę cię, żebyś mi już po gościńcu nie biegała... – – rzekł powoli ojciec i ująwszy ją za szyję pocałował w czoło.

– A teraz pij herbatę...

Anielce zdawało się, że jest na innym świecie. O, Boże! Boże! jaki ten tatko dobry!... i jaki ten Gajda, który kopał swoją córkę, szkaradny!...

Wtem przyszła jej na myśl pani Weiss i zapach dziewczynki nagle ostygł.

## **Rozdział piąty. Weseli są zasmuceni, a smutni mają doskonały humor**

Upłynął tydzień. Słońce grzało coraz mocniej, noce były ciepłe i krótkie. Nad polami przeciągały niekiedy chmury rozsypujące deszcz; wnet je przecie wiatr rozpędzał, aby nie szkodziły zbożom. Jedne drzewa pokrywały się kwiatem, inne – zawiązkami owoców.

Powietrze pachniało. Nad sadzawką dumały bociany przysłuchując się dukaniu żab. Ptasie gniazda zapełniały się piskletami. Wszystko żyło i rosło albo – przygotowywało się do życia i wzrostu. W naturze, jak bańki w gotującej się wodzie, wypryskiwały nowe istnienia, nowe głosy, nowe radości. Im wyżej słońce wzbijało się nad horyzont, tym mocniej kipiało życie. Zdawało się, że ogromną gwiazdę tę otacza chmura duchów, które gradem spadają na ziemię i wcielają się w kształty nietrwałe, ale żwawe i figlarne.

Pola, krzaki i lasy, wzgórza i doliny okryły się zielonością rozmaitych odcieni, wśród której błyszcząły jak gwiazdy – kwiatki białe, różowe, niebieskie, żółte i Bóg wie jeszcze jakich barw. Każda barwa skupiała się na pewnym obszarze, ukazując śmiertelnej źrenicy smugi i plamy, bez ładu po niezmiernej przestrzeni rozrzucone. Freski mistrzów nie inaczej przedstawiają się łąącym po nich muchom, jak kolory i tony pól

mieszkającym wśród nich ludziom. Któż wie jednak, co w tych smugach i plamach upatruje niezamykające się oko wiekuistego malarza, dla którego ziemia płótnem, śnieg zasłoną, a pędzlem – słońce?

Przez cały ten czas ojciec Anielki nie wyjeżdżał z domu. Wysłał tylko przez Szmula pożyczone pieniądze do miasta. Najczęściej siedział w swoim gabinecie i palił cygaro, czytał coś i palił cygaro, rozmawiał ze Szmulem i znowu palił cygaro.

Niekiedy wychodził przed ganek, wkładał ręce do kieszeni i podniósłszy głowę patrzył na krańce horyzontu, jakby wyglądając oczekiwanych wypadków. Ale wypadki spóźniały się, a natomiast widać było na jego polach rzadkie zboża i wiele płątów nieobsianych. Wówczas jak błyskawica przychodziła mu myśl, że jego przyszłość nie ma już punktu oparcia. Wracał do gabinetu i chodził, chodził – całymi godzinami po uginającej się podłodze.

Kto wie, czy nie pierwszy raz w życiu dziedzic był tak zadumany i niespokojny. Przebywał ważną epokę. Dziś, jutro, a najpóźniej za tydzień powinna się rozstrzygnąć kwestia serwitutów. Parę miesięcy temu włościanie zdecydowani byli cofnąć swoje prawa do lasu za trzy morgi gruntu na każdą osadę. Jeżeli włościanie podpiszą układ, las zostanie sprzedany, dziedzic otrzyma jeszcze dziesięć tysięcy rubli i ureguluje najgwałtowniejsze interesa. Lecz jeżeli nie zgodzą się, będzie musiał sprzedać majątek. A co potem?...

Zawieszona w taki sposób kwestia bytu albo ostatecznej

ruiny trapiła ojca Anielki. Stracił humor, zwykłą pewność siebie, a zarazem – chęć do przejażdżek. Od pewnego czasu chodziły wieści, że włościanie rozmyślili się i żądać mają większego wynagrodzenia za serwitut, a nawet zerwać układy. To przerażało go.

Należał on do ludzi, którzy pragną, aby każda sprawa szła wedle ich myśli, ale żadnej sami nie wypracują. Zgodziwszy się z włościanami na trzy morgi uwierzył jak w pewnik, że serwituty ureguluje. Na mocy tego sprzedał las, wydał pieniądze, sprawą już nie zajmował się dłużej, nie przypuszczając nawet, aby w interesie mogły zajść jakie przeszkody. Wiedział, że na św. Jan ma być podpisany ostateczny układ, i do tego terminu wszystko odsuwał.

Gdy mu Szmul doniósł, że włościanie mówią o czterech morgach, uczuł, że wielopiętrowy gmach jego nadziei zachwiał się. Opanowała go trwoga, lecz tak dalece przywykł powierzać się biegowi wypadków, taki czuł wstręt do utraty złudzeń, że nie śmiał nawet sprawdzić wiadomości, a tym bardziej odrobić rzeczy, o ile by się dała.

Odpychał rzeczywistość i uciekał od niej aż do dnia, w którym sama miała mu się narzucić.

„Może to plotki? – myślał. – W takim razie trzeba by włościan spytać... Nie!... bo gotowi sądzić, że ustąpię...”

Właściwie jednak nie o to mu chodziło, ale o to, ażeby nie usłyszeć złej prawdy. Jeżeli dziś przekona się, że układy spełzną na niczym, marzenia jego osnute na sprzedaży lasu rozwieją się.

W przeciwnym razie może się bawić nimi jeszcze tydzień, trzy dni... choćby jeden dzień.

Nie pytał więc nikogo, z nikim nie rozmawiał; nawet Szmulowi przerywał rzecz o serwitutach i – czekał. Takie postępowanie nazywał dyplomacją i tłumaczył sobie, że jeżeli nikt od niego nie usłyszy ani wyrazu w tej sprawie, włościanie nie będą śmieli zmieniać warunków poprzednich.

I znowu nie była to dyplomacja, ale obawa spojrzenia w oczy faktom, obawa zapytania samego siebie: co robić po przymusowej sprzedaży majątku za długi? Gdzie podziąć żonę? ... Czym jej zastąpić strwoniony posag, klejnoty i względne wygody?... W jaki sposób pogodzić ją z myślą, że nie mając funduszków w swych rękach, straciła je i że już nie pojedzie leczyć się do Warszawy?

Czas biegł szybko. Niekiedy dziedzic wśród nocy budził się, oblany zimnym potem, myśląc, że już jutro dowie się ostatecznej prawdy. Czasami chciał sam zwołać gromadę i zapytać, czy gotowi są do podpisania umowy? Ale wnet opuszczała go odwaga i mówił:

– Gdyby to jeszcze była kwestia paru miesięcy... Ale tak – dziś lub jutro sami przyjdą, a nużbym zepsuł sprawę niecierpliwością?...

Czekał więc, choć czuł, że bywają chwile, w których puls uderza mu nieregularnie, a serce trzęsie się jak raniony ptak. Takich wrażeń nigdy jeszcze nie doświadczał.

Gdyby lepiej wpatrzył się w przyszłość, może by ujrzał tam

znaki ostrzegające w formie krzyżów na grobach. Może by się zatrzymał albo poszedł w innym kierunku?...

Zdawało się, że usposobienie dziedzica ciąży nad całym domem. Pani pobladła jeszcze bardziej, Anielka była zgnębiona, choć nie wiedziała czemu. Parobcy jeden za drugim dziękowali za służbę i zaniechali się w pracy. Niektórzy wymykali się ze dworu, niekiedy na parę dni, w celu szukania nowego miejsca. Inni wynosili z budynków powrozy i żelastwo, aby choć w części odbić zaległą pensję. Inni byli hardzi i wykrzykiwali na złe jądło.

Wszyscy, zebrawszy się wieczorem około czworaków albo między stodołami, głośno rozprawiali o tym, że „już chyba z dziedzica nic nie będzie!”.

Tylko stangret, Jędrzej, który z panem od dziesięciu lat jeździł, oparłszy się na płocie słuchał w milczeniu, palił fajeczkę, która umiała świergotać, i czasami mruknął:

– At! głupieśta wy...

– Albo co? – spytał go największy malkontent, gumienny.

– Bo to, żeśta głupi! – odparł Jędrzej i splunął. – Choćby i sprzedali ten folwark, to dziedzicowi jeszcze nic nie będzie.

– No, a gdzież on będzie mieszkał, jak go stąd wybronują?

– W mieście, i lepiej niż tu.

– A co będzie jadł?

– Juźci, że to, czego z was żaden nie powącha.

– A z nią jak i z dziećmi?

– Także będą w mieście, gdzie apteka niedaleko. A jak, czego Boże broń, ona odejdzie, to dziedzic ożeni się z taką bogatą, że

za jeden jej pierścionek wieś by kupił – mówił Jędrzej.

– Może i tak!

– A ino!

– No, a jakże z nami będzie, co nam nie popłacił?

– Z wami?... Jeszcze by on was swoją nędzą karmił i poił przez cały rok. Jak sprzeda folwark, to wam zapłaci.

– Zawdy my tu niedługo chyba popasujemy?...

– To inna rzecz, a tamto inna rzecz. Kto chce iść, niech idzie gdzie mu lepiej, a ja przy dziedzicu zostanę.

To rzekłszy Jędrzej wyprostował się leniwie i powlókł do stajni, nie patrząc nawet na radzących.

Parobcy spojrzeli po sobie.

– Szczeka czy gada prawdę? – spytał jeden.

– Co ma szczekać! Pójdzie wszędy za dziedzicem, jak woźnica za wozem, bo wie, że mu tamten krzywdy nie robi.

– Jużci prawda!... Abo to jemu żona, abo dzieci? Stary sam jak palec, jeżdżą sobie we dwóch, piją arak i spekulują na dziewczki, gdzie się uda.

Ponieważ gospodyni księdza dziekana rzeczywiście w upłynionym tygodniu umarła, klucznica więc, Kiwalska, ze łzami wprawdzie i zakłęciami, ale nader stanowczo podziękowała pani za służbę. Twierdziła ona, że kocha cały dom bez pamięci, że pewnie umrze z tęsknoty, gdy się oddali, ale że religijny obowiązek nakazuje jej pójść do księdza dziekana, którego niegodziwe służące zamorzyłyby głodem. Dodała w końcu, że nawet nie śmie przypominać o należnych jej zasługach, ale

wierzy w to, jak w świętą Ewangelią, iż państwo krzywdy jej nie zrobią.

W postępowaniu panny Walentyny także zaszła zmiana. Widząc, jak się wszyscy wynoszą, zapewniała głośno, że ani myśli opuszczać edukacji Anielki, którą polubiła, ale – że z panem pod jednym dachem mieszkać nie może.

Słyszając to pani ruszyła nieznacznie ramionami, nie tyle spokojna o wierność męża, ile o wpływ wdzięków uczonej osoby. Odpowiedziała jej więc, że pewnie obie z dziećmi wyjadą do Warszawy w jesieni, a że tymczasem męża jej często w domu nie ma, sądzi przeto, że panna Walentyna mogłaby choć w części opanować swój niepokój.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.